

**P**RZYJNAJE, że wyjeżdżałem do Warszawy z mieszanymi uczuciami. Temat, jak temat... O polityce kulturalnej rozprawia się dziś powszechnie, zwołuje posiedzenia, na których dokonuje się oceny, podsumowań, ustala kierunki działania. Wszyscy w tych sprawach, okazuje się, są niesłychanie kompetentni, od nie obrażając bynajmniej strażaków i społeczne organizacje zawodowe, po różnego rodzaju doradnie zwoływane komisje...

Próbki, niestety, nie najlepszej jakości, kształtowania tej polityki na miarę lokalnych interesów i partykularnych ambicji miałem możliwość oglądać niejednokrotnie. Niemal pikantne szczegóły rezultatów, do jakich dochodzi się, gdy wokół jednej inicjatywy grupuje się kilku kontrahentów, z których każdy ma o tej inicjatywie zupełnie inne wyobrażenie, mogłoby podać działacze kultury z powiatu brzozowskiego.

Ich zabiegi, starania, wydreptywanie progów instytucji wojewódzkich, centralnych są tak charakterystyczne dla przedstawionych powyżej wątpliwości, że zasługują na pewno na oddzielne, „monograficzne” potraktowanie.

Miałem wiele obaw, czy spotkanie warszawskie nie będzie jeszcze jedną próbą, tym razem centralnych „ustaleń”, „zaleceń” i „wskazań”. Obawy te nie wyrosły bynajmniej z jakiejś metafizycznej nieufności do centralnego planowania i kierowania w kulturze. Jak ognia boję się tych wszystkich, generalnych, przełomowych koncepcji, po których przychodzą znowu kolejno nowe, jeszcze bardziej rewelacyjne i śmiałe... W tych zaś sprawach ani Warszawa, ani „teren” nie mają monopolu...

Czy były to jednak obawy uzasadnione? Czy dwudniowa dyskusja najwyższych władz organizacji młodzieży wiejskiej, członków ZMW z gromad, powiatów, działaczy kultury spoza tej organizacji, zaproszonych na obrady, pomogła nam przyjeźdnym rozwiązać tego typu obawy?

Nie chcę odpowiadać za innych. Moje obserwacje dyskusji dotyczącej szerokiego kręgu zagadnień współczesnej działalności kulturalnej na wsi są być może zbyt osobiste, nie poparte bardziej gruntowną analizą, ale przekazuję je bez czekania na to, czy wytrzymają próbę konfrontacji, lub porównań.

Wydaje mi się, że kilka problemów warszawskiej narady ma w naszym województwie interesującą ilustrację i to chyba jest bezpośrednim powodem niniejszego artykułu.

Referat na plenum ZG nie był wygłaszany. Rozesłano go zaproszonym kilka dni wcześniej. Jego autorem jest Krystyna Gromkova — sekretarz Zarządu Głównego.

Dla nas, był on interesujący podwójnie. Przyznaję, że z dużą satysfakcją czytaliśmy w nim o sprawach, które od trzech, czterech lat zaczynamy w naszym województwie rozwiązywać coraz rozsądniej. Co więcej — przysłuchując się dyskusji, notując poszczególne wypowiedzi spostrzegam, że w niektórych doświadczeniach mamy rezultaty, które pozwalają innym nieco okiem patrzeć na prowincję...

Jest coś bardzo charakterystycznego w tym, że zarówno oficjalne materiały plenum — referat, uchwała, jak i wielu dyskutantów w określaniu przyszłości ruchu kulturalnego na wsi tak wiele miejsca poświęca sprawom elementarnym, podstawowym: nauce, rozwojowi osobistemu młodego człowieka, konieczności zdobywania kwalifikacji

zawodowych, że od nich uzależnia przyszłość i charakter organizacji. Przy fajerwerkowych, hulaśliwych inicjatywach, akcjach, które umierają śmiercią gwałtowną, gdy tylko pojawią się następne, postawienie na długofalową nieefektywną dla sprawozdawczości

dzają słuszność decyzji sprzed trzech lat.

Z inspektorem B. Majką z rzeszowskiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli spotykamy się często przy okazjach posiedzeń dotyczących różnych problemów kultury naszego województwa. W roku ubiegłym na zlecenie Sejmowej Komisji Kultury badał on wraz z zespołem pracowników NIK realizację Uchwały nr 15 z 31 maja 1960 roku, uchwały, • której piszę w niniejszym artykule. Po roku, w ostatnim kwartale 1962 roku wrócił on ponownie do tego problemu.

Znam oba sprawozdania kontrolne, na ich temat przegadaliśmy wiele godzin. Zebrany materiał pokazuje moc przykładów bezmyślności i marnotrawstwa. Mieści się w tym niesłychana płynność

kadr w resorcie kultury. Dość przypomnieć, że w latach 1958—1961 w 25 powiatach zmieniło się 26 kierowników wydziałów kultury prezydentów powiatowych rad narodowych, z czego w Jarosławiu 3 razy, a w Leżajsku 4.

(Ciąg dalszy na str. 2)



(W Warszawie obradowało niedawno Plenum Zarządu Głównego Związku Młodzieży Wiejskiej, poświęcone problemom dalszego rozwoju pracy kulturalno-oświatowej).

działalność budzi sympatię i szacunek. Myślę, że ogólny ton wielu wystąpień uzasadnia to stwierdzenie.

Konsekwencją, z jaką Związek Młodzieży Wiejskiej będzie tę działalność kontynuował, w dużej mierze zadecyduje o tym, jakich będzie miał w tej pracy sojuszników.

Problemem, który omawiany był niezwykle żywo, w atmosferze ogólnej życzliwości i zainteresowania, było zagadnienie czytelni i bibliotek.

Raz jeszcze, przy powszechności radia i wzrastającej popularności telewizji, potwierdzono prawdę oczywistą dla każdego, kto sprawami tymi bliżej się interesuje, że książka i jej upowszechnianie nadal pozostają tradycyjną, a równocześnie bardzo nowoczesną formą działalności kulturalno-oświatowej.

Słuchałem więc liczb, konfrontacji, przykładów mówiących o książce, bibliotece i bibliotekarzu. Słuchałem ze szczególną uwagą.

Od maja 1960 roku realizuje się w województwie rzeszowskim pewne zamierzenie kulturalne, które w swym założeniu stawia właśnie na książkę i bibliotekę. Jego geneza wiąże się z Sesją Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, poświęconą problemom rozwoju kulturalnego wsi i małych miasteczek.

Sesja przyniosła uchwałę, jeden — moim zdaniem — z cenniejszych dokumentów tej Rady, jakie ukazały się w sprawach kultury. Uchwała stwierdza konieczność zmiany na lepsze w sytuacji bibliotek, zarówno w zakresie ich finansowania, jak i zakupu książek, poprawy warunków lokalowych, uznaje za celowe tworzenie przy bibliotekach czytelni, zaleca poprawę warunków pracy bibliotekarzy.

Mamy w Rzeszowskiem 10 procent ogółu bibliotek gromadzkich w kraju. Obok pięciuset kilkudziesięciu bibliotek gromadzkich i wiejskich, ponad tysiąc punktów bibliotecznych, sto kilkadziesiąt wiejskich czytelni. Nie ma dziś na wsi prócz szkoły, placówki, która miałaby tak szeroki krąg oddziaływania jak biblioteka. To chyba mów o randze tej placówki.

Wnioski i zalecenia dość precyzyjnie określają obowiązki rad narodowych na najbliższe lata i... zimy. Tak, tak! Zimy w najbardziej popularnym pojęciu. Ostatnie wyjazdy lustracyjne do bibliotek gromadzkich wykazują, że wiele rad gromadzkich kpi sobie chyba z zaleceń i nakazów.

W niektórych placówkach dzieło w ścianach zatyka się portretami pisarzy...

Podaję ten fakt dla ilustracji, że to „stawianie na książkę i bibliotekę”, nie przebiega u nas w tak idealnej harmonii i ogólnym zrozumieniu.

Ale są inne fakty, które potwier-

ZDZISŁAW OSTROWSKI

## DOKĄD PÓJDE

Rozchylania płatów ognia  
po wykrycie miejsca żaru  
zjawisk rzadkich  
pestkom czaszek  
w czasach smakowania łatwizn  
dokąd zmierzam  
w nać ziemniaczą  
abym bulwę hodowany  
strzelił pionem krótkotrwałym  
potem w ziemię  
i dym przy mnie  
dokąd zmierzam  
żar wygasa  
nie mam czego już rozchyłać  
plachty ognia płody węgla  
obok czernią zmatowiałe  
aby koniec ceremonii  
w dół nie runął  
krzak zwietrzały  
dokąd pójdę szukać siebie?



**Z**RODZIŁO JĄ średniowiecze. Odległa, dziwna epoka pełna okrucieństwa, bezwzględności, upokorzenia człowieka, jego bezsilności i nieporadności wobec otaczającego świata, epoka ucieczki w krainę wyobraźni zamieszkałą przez ludzi, nie-ludzi, gdzie człowiek nabywał praw do wartościowania samego siebie, swojego postępowania i uczuć oraz do osądzania innych według uniwersalnych wzorów przyjmowanych żywcem od uczonych scholastyków, zakapturzonych mnichów i pobożnych dzieł zatopionych w ascezie, epoka sądów bożych, płonących stosów, pławienia czarownic, a także pomorów i wojen dziesiątkujących ludność Europy. Cała ówczesna literatura, przynajmniej w głównym, łacińskim, kosmopolitycznym nurcie daleka była od apoteozy zmysłowej miłości — tego grzesznego uczucia, które odwracało myśl od Boga. Żywoty świętych, apokryfy, legendy o czynach doskonałych ascetów, świadomie wyrzekających się doczesnych przyjemności życia, przepelnione są podaniami o cielesnej czystości, miłej stwórcy. Dlatego co gorliwi wyrzekali się małżeństwa lub też wchodząc w związki ziemskie ślubowali równocześnie wstrzemięźliwość, a nawet czystość. W takim klimacie, zgola nieprzychylnym emancypacji człowieka, dojrzał bunt przeciwko temu co sztuczne i wmówione, co tłumilo naturalne odruchy serca ludzkiego. Na dworach możnych książąt i baronów, próżnujące, żądne fantastycznych przygód rycerstwo, chętnie dawało posłuch wędrownemu trubadurowi, który przy dźwiękach muzyki, kłaniając się czołkiem zebranym na zamkowym

krużganku nadobnym damom i miłośniwym panom śpiewał pieśni o niezwykłych rycerzach podejmujących walkę ze smokami, ziejącymi ogniem zatracenia i uwalnających z okrutnej niewoli szlachetnie urodzone dziewice, które prawie zawsze obdarzały swoich wybawców czułą miłością. Dzięki tym wędrownym trubadurom powstała do równująca artystycznym legendom hagiograficznym poezja świecka o ludzkich namiętnościach, o zakaza-

nieszczęśliwych kochanków, którzy wbrew swej woli, po wypiciu miłostnego napoju o fatalnej mocy, zapomnieli, że ich nieprawy związek przyniesie im cierpienie, każe okazywać szlachetnego króla Marka, używać wybiegów i podstępów, zność upokorzenia, żyć w ciągłej udręce i niepokojach. W wyborze Danuty Michałowskiej uderza jednak nie tylko dbałość o logiczne, harmonijne powiązanie całości, ale przede wszystkim duże poczucie dramatyz-

radości, w wielkiej żalobie miłowali się, później zasie pomarli w tym samym dniu, on przez nią, ona przez niego", do kwestii nabrzmiałych grozą, zmysłową namiętnością, łagodnością i rozpaczą. Wszystkie postaci, w które wcieliła się Danuta Michałowska zachowywały swoją odrębność, swoją indywidualność, każda z nich była żywa i prawdziwa — przemawiała prostotą i głębią przeżycia wewnętrznego. Aczkolwiek to przeżycie było wiel-

harmonizował z dramatycznym stężeniem tekstu.

Dobrze się więc stało, że kierownictwo Teatru im. Wandy Siemaszkowej zaprosiło Danutę Michałowską do Rzeszowa, byłoby jeszcze lepiej, gdyby jej występy mogło zobaczyć znacznie więcej widzów województwa rzeszowskiego, znacznie więcej młodzieży szkolnej, która okazała się doskonałą, wyrobioną publicznością teatralną. Byłem na spektaklu szkolnym i obserwowałem reakcję sali. Młodzież z Rzeszowa, Łańcuta i Przeworska z prawdziwym zainteresowaniem uczestniczyła w tym niecodziennym wydarzeniu kulturalnym. Taka recepcja spektaklu również świadczy o jego poziomie.

Do teatru jednego aktora zdołano się u nas przyczepić. Występy Wojciecha Siemiona podczas rzeszowskich spotkań teatralnych stały się już tradycją. Także Danuta Michałowska po raz drugi bawiła w naszym mieście i wolno przypuszczać, że przyjedzie tu jeszcze z nową uczuciem poetycką i zgotuje niemałą radość tym wszystkim, którzy odczuwają piękno słowa polskiego.

Wierzę również, że artystka wygospodaruje trochę czasu, by odwiedzić, przynajmniej niektóre miasta powiatowe, dysponujące odpowiednią salą teatralną.

CZESŁAW KŁAK

## BAŚŃ O NAMIĘTNOŚCI

nej, nieprawej miłości, która w ich oczach nie była przestępstwem, lecz zrzędzeniem losu. Jedną z najpiękniejszych, najbardziej lirycznych baśni na ten temat są „Dzieje Tristana i Izoldy”, przypominane publiczności teatralnej przez Danutę Michałowską, która występowała gościnnie na rzeszowskiej scenie.

Trudno o szczęśliwszy wybór. Pełna dramatycznych śpiewów historia miłości Tristana i Izoldy już w średniowieczu była utworem scenicznym, wykonywanym przez jednego aktora — trubadura. Michałowska sięgnęła więc po tekst rapsodyczny w swoim założeniu, nie wymagający ryzykownej pracy adaptacyjnej. Wybierając fragmenty z długiej opowieści, artystka wzięła to, co stanowiło jej główną osnowę, co bezpośrednio wiązało się z losem

mu i liryzmu tekstu, a więc elementów najbardziej teatralnych, tych które utrzymują widza w niesłabnącym napięciu. Trudno zresztą dokładnie rozgraniczyć co elektryzowało widzów — czy reżysersko-literackie opracowanie tristanowej legendy, czy wirtuozeria aktorskiego rzemiosła Michałowskiej. Z całą pewnością i jedno, i drugie. Tak spójne artystycznie spektakle rzadko się ogląda. Doskonale wyczuła epoki, która zrodziła tę opowieść, jej sprzeczności, powikłała, filozofii na codzienny użytek, jej artystycznych upodobań i dworskiego obyczaju, pozwoliło artystce swobodnie i naturalnie przechodzić od rozlewnej epiki bazarza, który grzeszonym słowem i gestem zaprasza do wysłuchania rzeczy „o Tristanie i Izoldzie królowej”, którzy „w wielkiej

kle i szarpiące, artystka nie uzewnętrzniała go w geście, którym dysponowała oszczędnie, z umiarem. Jeśli nawet w pewnych epizodach stanowił on element dominujący (Brangiel w rozmowie z dwoma zbirami, którzy na rozkaz królowej mieli ją zabić; rozpacz Izoldy po wydaniu na śmierć wiernej służki; przysięga Izoldy oczernionej o zniechęceniu królewskiego łoża) to zawsze

## KONFRONTACJE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Mimo stanowczych zaleceń, by każdą zmianę na tym stanowisku w powiecie konsultować z Wydziałem Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, w roku 1962 znów osiem powiatów dokonało zmian na stanowiskach kierowników „powiatowej kultury”, w większości wypadków nie konsultując z nikim kompetentnym tej decyzji.

Rezultaty tak podjętej „stabilizacji kadr” pokazywał mi inspektor Majka na przykładzie powiatu lubaczowskiego. W badaniach prowadzonych przed dwoma laty powiat lubaczowski wykazał w sprawozdaniu imponującą liczbę 30 czynnych świetlic. W rok później, kiedy powrócono do tego sprawozdania ponownie, inspektor wspólnie z nowo mianowanym kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium PRN mogli się ich doliczyć zaledwie... siedmiu.

Czytałem wyjaśnienia i oświadczenia, które trzeba było później składać w tej sprawie organom kontrolującym. Jestem osobliście przekonany, że te nazwijmy to „nieścisłości statystyczne” nie powstałyby nigdy przy dobrej znajomości własnego terenu. A na jego poznanie potrzeba czasu.

Mam pełne zaufanie do wyliczeń, liczb i faktów przedstawionych przez kontrolę NIK w sprawie realizacji Uchwały WRN „O rozwoju kultury wsi i małych miasteczek”. Są one, a w każdym razie być powinny, sygnałem alarmowym wielu jeszcze nieprawidłowości w zakresie organizacji działalności kulturalno-oświatowej na wsi.

Nie podzielałm niejednokrotnie zdania w sprawach wniosków, które proponuje kontrola. Zakładają one, jak mi się wydaje, potrzebę „równania do najlepszych”, co na pewno jest chwalebne w intencjach, ale dość odległe od aktualnych możliwości kadrowych, finansowych, lokalowych.

I chyba dość wymowne jest to, że instytucja, której zadaniem jest wszechstronna analiza celowości wydanych złotych, wskazuje, że o płać się inwestować w książkę, bibliotekę, czytelnika.

Nie ma jeszcze w tej chwili pełnych danych GUS-owskich, dotyczących tej dziedziny. W chwili pisania niniejszego artykułu zastępca dyrektora Miejskiej i Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie mgr Ludmiła Tokarska siedzi jeszcze wspólnie z przyjeżdżającymi z powiatów kierownikami Bibliotek Powiatowych nad arkuszami statystycznymi.

utrzyma się w wysoki wzrost czytelnictwa, który obserwowaliśmy w roku 1960 i 1961?...

Okazuje się, że tak. Przez trzy ostatnie lata przybyła nam w województwie rzeszowskim rocznie po około 20.000 nowych czytelników.

To prawda, że część tego sukcesu leży w otwarciu w województwie rzeszowskim kilkudziesięciu nowych bibliotek. Coraz bogatsze, bardziej różnorodnie są formy popularyzacji książki, lepsze możliwości dotarcia z nią do czytelnika.

Ale te rezultaty pochodzą również stąd, że rady narodowe w ostatnich trzech latach wykazały dla potrzeb książki więcej zrozumienia. W okresie od ogłoszenia Uchwały w maju 1960 roku po dzień dzisiejszy zakupiono w Rzeszowskim do bibliotek publicznych ponad 430.000 książek za kwotę ponad 7.255.000 złotych.

Przykład ten mówi wyraźnie, że ten rodzaj inwestowania nie dając wprawdzie efektywnych rezultatów tańszego zespołu, daje jednak niewspółmiernie więcej.

Zatrzymałem się nad tym problemem nieco szerzej, gdyż spotrzegam, że nie tylko my w Rzeszowskim „odkryliśmy” tę prawidłowość i że nie byłimy tu chyba pierwsi. Potwierdzona ona została również wielokrotnie w czasie obrad plenarnych Zarządu Głównego ZMW, znalazła swoje miejsce w Uchwale ZG.

„Zarząd Główny — czytamy w niej — uważa za generalną zasadę prymat książki i czytelnictwa w całej działalności kulturalnej Związku, ścisłe łączenie wszystkich dziedzin pracy kół z biblioteką i punktem bibliotecznym.

Biblioteki gromadzkie powinny stać się wraz ze szkołą ośrodkami życia kulturalno-oświatowego na wsi i w PGR.

Koła ZMW powinny stać się organizatorami i propagatorami czytelnictwa i książek w swoim środowisku. Powinny przejmować w razie potrzeby prowadzenie punktów bibliotecznych wraz z punktami sprzedaży książek, organizować nowe punkty, zakładać kluby, czytelnice, Kluby Przyjaciół Książki, organizować zespoły czytelnicze, olimpiady czytelnicze, spotkania z pisarzami, wystawy i kiermasze książek.

Ważnym zadaniem Instancji ZMW jest inicjowanie czynów społecznych młodzieży w zakresie remontu bibliotek i wyszukiwania oraz renowacji lokalni na punkty biblioteczne, czytelnicze” (podkr. autora).

Komentarze są tu chyba zbędne. Uchwała mówi o sprawach, które są i chyba długo jeszcze pozostaną podstawowe dla dalszego rozwoju kulturalnego wsi, uwzględnia aktualny stan bazy bibliotecznej i stara się pozyskać dla książki przyjaciół i jej propagatorów.

To są sprawy bardzo ważne. Na tych drogach Związek Młodzieży

Wielkiej znajdzie na pewno ludzi gotowych do współdziałania.

Wydaje mi się, że jedna sprawa zasługuje niewątpliwie na szersze omówienie.

— Jak te wszystkie słuszne i mądre zadania wprowadzać w życie?

Trudno tu dawać recepty, czy kogokolwiek pouczać. Wydaje mi się, a obserwacje swoje opieram na kilkuletniej praktyce, że ciągle jeszcze niewielka jest znajomość w wykorzystywaniu w wszystkich aktualnych możliwościach budżetach rad narodowych w wszystkich szczeblach, możliwości poprawy sytuacji materialnej placówek k.o.

Bardzo często podnosi się alarm, zwołuje „pospolite ruszenie” o środki na kulturę w czasie, gdy zatwierdzone zostały budżety, lub przesyła terminy zgłaszania wniosków przed rozdziałem nadwyżek budżetowych.

Wiadomo, że najbardziej hałaśliwa akcja nie ma praktycznie wtedy żadnego sensu.

Błędy takie popełnia dość często Związek Młodzieży Wielkiej i wiele innych organizacji społecznych. Ale nie on ponosi tu chyba główną winę. Z kontaktów, jakie mam z Gromadzkimi Komisjami Oświaty Kultury i Spraw Socjalnych wynika, że wielu radnych i członków Komisji spoza rady nie bardzo wie, jakie są ich uprawnienia, możliwości, co leży, a co nie w kompetencjach rady, komisji.

Jeśli radni nie bardzo znają technikę załatwiania spraw swojej gromady, trudno wymagać, by znali je lepiej kilkunastoletnie dziewczęta i chłopcy stanowiący podstawową grupę ZMW, organizacji liczącej na wsi dziś ponad 600.000 członków...

Stąd chyba w dużej mierze powstają powtarzające się co roku, nie tylko u nas, ale w całym kraju, historie z niewykorzystanym budżetem na kulturę w gromadzkich radach narodowych.

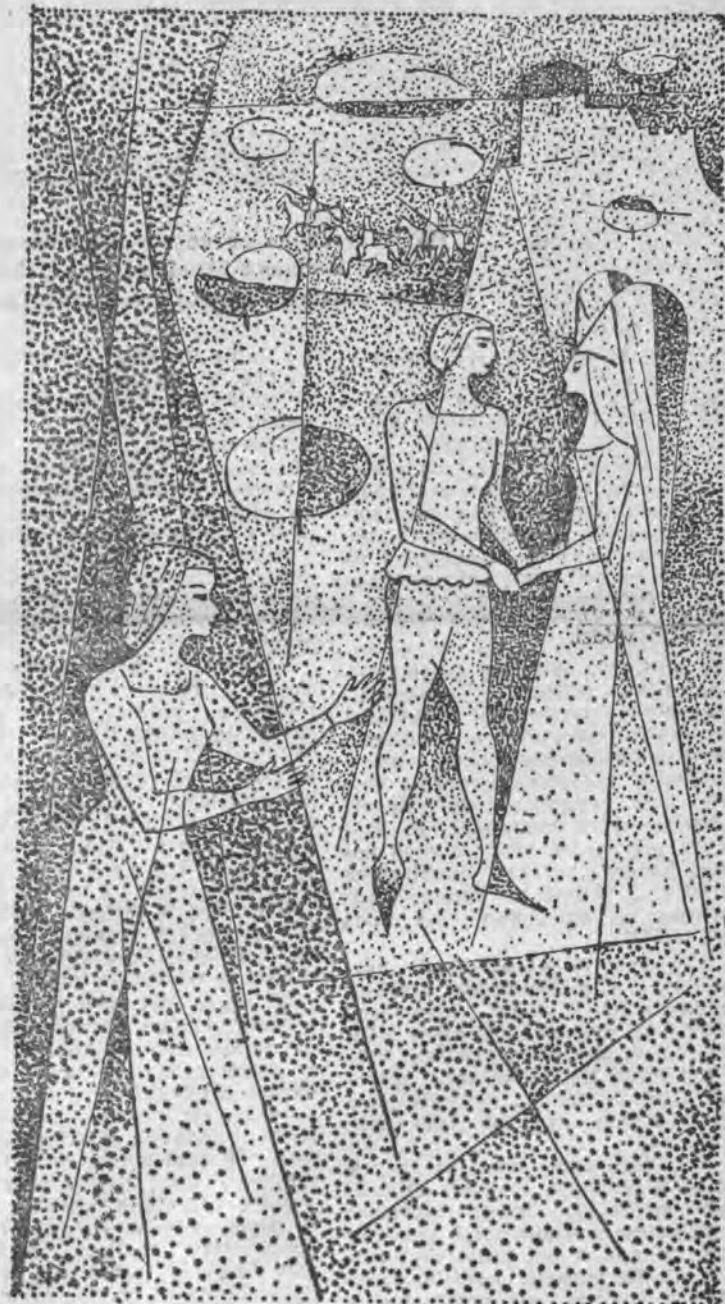
Krystyna Gromkova przytoczyła w referencje dane Sejmowej Komisji Kultury z 1961 roku, z których wynika, że w roku tym rady narodowe nie wykorzystwały w kraju 12 milionów złotych na rozwój bibliotek i czytelnictwa.

Również i ten przykład wskazuje, że należy z większą troską i uwagą śledzić problemy kultury wsi i gromad, by nie dochodziło do paradoksoów, że oszczędności gromadzkich rad narodowych pochodzą ze środków... przeznaczonych na węgiel do bibliotek i świetlic lub na remont i wyposażenie tych pomieszczeń...

Przeciwdziałać temu mogą nie dramatyczne protesty i apele, ale rozsądne korzystanie ze wszystkich tych uprawnień, jakie daje w tej sprawie władza ludowa.

Bo chyba w kulturze też znaleźć by można odpowiednik hasła Mięsiąca Oszczędzania: „Oszczędzaj, ale nie na mydle”...

ADOLF JAKUBOWICZ



Rys. ZDZISŁAW OSTROWSKI

## W OCZEKIWANIU

Mój szef, naczelny redaktor, chociaż znam go z tego, że kamienne ma serce, celowo odwraca się, aby nie widzieć smutnej twarży dziecka. Sam z trudem hamuję łzy. Mimo wszystko w fizjonomii chłopczyka jest coś takiego, co przyciąga jak magnes. Siedzi w tej chwili na brzegu kulawego krzesła i duże niebieskie oczy utkwili w przybyłych postaciach. Dopiero co wrócił ze szkoły. Pęk zeszytów i książek spiętych ceratowym pasikiem położył na parapecie spróchniałego okna, objął rękami kolana i patrzy, patrzy, patrzy. My z kolei patrzymy również na niego.

Zauważyłem, że drży. To z zimna. Na pewno. Więcej nie ma nic, tylko to, co na sobie. Chodzi w tym w niedzielę i w dni powszednie. Do szkoły i do kolegów. Do kościoła i na ślizgawkę. Długie cągowce spod nie, spod których wyglądają sine i suche nogi. Buty — chyba ze starszego brata. Włóczkowe skarpetki — jedna inna, druga inna. Welniany bluza święta trzema agrafkami, podarty sweter i szal okrzęcony kilka krotki dookoła szyi. To wszystko

— Nie masz płaszcza? — pytam.  
— Nie.  
— Ani ciepłej bielizny?  
— Nie.

Pozadrościć mu jednak trzeba zdrowia. Dzień w dzień brnie przez zaspę śniegu do szkoły, nie bacząc na mróz czy zawieje, i jeszcze nigdy nie chorował. Zresztą — w izbie zięb nie mniejszy niż na polu. Jak on może się uczyć? Jak może się uczyć jego brat?

Wnętrze izby przedstawia obraz godny pożalowania. Sprzęty lice. Stół, trzy rozlatujące się krzesła, ława pod oknem, a w kątach dwa wyrka nakryte lnianymi płachtami i dziurawymi kocami.

Obok starożywieckiego pieca siera zmarzniętych i szczerbionych obierzyn z ziemniaków, kosz marchwi stós nie umytych garnków i nowa miotła, której — jak widać — nikt nie używa.

Omiotłem wzrokiem nie bielone od lat i szczerbale od dymu i kurzu ściany. Trochę pajęczyn, dyplom z roku 1932 głoszący, że „obywatel Feliks Olbrycht złożył przed komisją w Jasle egzamin z wynikiem pozy-

# WARSZAWA — MOSKWA — TBILISI — SYMFEROPOL — LWÓW



Na jednym z wieczorów poezji w Moskwie. Jewgienij Jewtuszenko recytuje swoje wiersze.

CAF — fot. Grzęda

EDMUND GAJEWSKI

## O WSZYSTKIM DECYDUJE MIŁOŚĆ...

(Wrażenia z podróży do ZSRR) (II)

### CKLIWA POWIASTKA

**K**TOŻ Z NAS nie pamięta różnych „Bartków Zwycięzców” tych odczłowieczonych bohaterów bez skazy, rolio się od nich w literaturze, w prasie, w filmie. Straszliwy nas swą papierową białością, a my często dla świętego spokoju wierzyliśmy, że to oni — nie my — ruszą bryłę świata. Niemniej irytowały mnie rzewno-ckliwe opowiadania; jak to dzisiaj wszyscy „Jankowie Muzykanci” mogą stać się wirtuozami i żadna ludzka zawiaść ani zły los ich nie zgnębi. Upraszczałyśmy niełatwe problemy i jak przystało na ludzi rozumnych nie opuszczały nas wątpliwości. Gorzej, że czasem ten „intelektualny cynizm” skonfrontowany z życiem też nas zawodzi.

Na wystawie malarzy moskiewskich jeden z przygodnych znajomych zwrócił naszą uwagę na wyrostka na kufajce. Wszystko wskazywało na to, że przyszedł tu prosto po pracy z jakiejś budowy, a dostać się na wystawę mógł tylko po paru godzinach oczekiwania w kolejce. Ten pozytywny bohater nie grał wprawdzie na fujarce ale niczym wytrawny znawca sztuki przystawał przed obrazami, oddalał się od nich, mrużył ślepią i z aprobatą kiwał głową lub z rezygnacją przechodził do następnej pracy. Na dodatek jeszcze coś notował.

Czułem, że zależy mi na tym. Mam się na stare lata rozkładać. Parę lat temu pisałem: „...tracisz takiego papierowego bohatera, to się rozleci”. Nie jestem magazjmem, więc przypadkowo trafiłem. — Psia-krew! Nie rozleciał się, lecz grzecznie przeprosił. I tak w jednej chwili rozleciało się moje uprzedzenie do ckliwych powiastek. Swoją rozterkę duchową próbowałem zgubić w filozoficznej zadumie „Wiem, że nic nie wiem”. W duchu robię sobie jednek wymówki: „Ty, Ga-

jewski nie bądź taki Sokrates”. Dla samospokojenia psuję krew Sienkiewiczowi.

— Kochany mistrzu, czy te ludziska pchają się po cytryny?

— Ty złościutki, na pewno wskażesz złoty klucz od tajemnicy; jaka to dobra wróżka, każe tym ludziom godzinami marznąć na ulicy.

Sienkiewicz przestał ruszać ramionami, zrobił się czerwony jak indor i syczy:

„Zejdź” ze mnie, nie jestem Pytią Deificką.

Czuję nowy przypływ żółci i odcinam się:

— Apollinem też nie i świątyni nie zbudują ci wdzięczni rodacy.

Zarty na bok. Ja też nie jestem wyrocznią. Na pewno wystawa prac malarzy moskiewskich była dla mieszkańców stolicy interesującym i niecodziennym wydarzeniem kulturalnym. Niestety, tak się to po rutyniarzku pisze. Biję się jednak w pierś. To nie dzieła sztuki mnie głęboko wzruszyły, lecz miłość mieszkańców Moskwy do sztuki zrobiła ze mnie sentymentalną pensjonarkę. Wiem, że to banalne i przepraszam, tylko czym zastąpić miłość choćby słowo się zdawało?

Większość reprezentowanych na wystawie prac, moskiewczanie znają nie od wczoraj z licznych wystaw. My, oglądaliśmy je dotychczas na reprodukcjach. Mam na myśli popularne reprodukcje dzieł poświęcone tematycznie Wielkiej Rewolucji Październikowej. Dalej, obrazy tematycznie związane z ostatnią wojną, np. prace Kukryników, m. in. obraz „Ostatnie chwile Hitlera”. Na wystawie wystawiono też dużo prac z ostatnich lat. Po przyjeździe do kraju pytano mnie o poziom artystyczny tej wystawy. Wydaje mi się, że bardzo różny. Niejednokrotnie wybitne dzieła sztuki na tej wystawie sąsiadowały z naturalistyczną miernotą. Nie chciałbym generalizować, ale zgodziłem się z Sienkiewiczem, że poziom artystyczny

oglądanych prac dość jaskrawo ilustruje, jak z roku na rok, w okresie kultu Stalina wzmagal się nacisk administracyjny, deformując oblicze sztuki radzieckiej. Dzisiaj większość plastików radzieckich odrzuciła obciążenia naturalistyczne. W środowiskach twórczych, studenckich, na łamach prasy toczy się ożywiona dyskusja na temat możliwości i perspektyw sztuki socjalistycznej, jednocześnie trwa walka przeciw odrywaniu formy artystycznej od treści dzieła sztuki.

### SAMOBSŁUGOWYM... DO HOTELU

**W**RACAMY do „Leningradzkiego”. Z inżynierem umawiamy się na jutro w hotelu. Może on wskaże nam złoty klucz od tajemnicy...

Autobus jest samoobsługowy i nie ma w nim konduktora. Pasażerowie sami wrzucają kopiejkę do oszklonej skrzynki i wykręcają bilet. Można go wykręcić i bez wrzucenia kopiejkę. O takich sporadycznych wypadkach jednak nie słyszałem. Odnosi się wrażenie, że solidność stała się nawykami, który wszedł w krew moskiewczanom. Kolarz postanowił zjeść w restauracji hotelowej. Lokal, jak wszystkie tego rodzaju w Moskwie, otwarty jest tylko do godz. 24. Sala prawie już pełna, przysiadamy się do jakiegoś sztywnego jejmościa w towarzystwie kobiety — o niej tego powiedzieć nie można. Towarzystwo starannie ubrane, kobiety z większym szykiem od mężczyzn. Orkiestra, jak się to mówi, na poziomie, repertuar raczej ograniczony, walce, tanga i słofoxy. Refrenistka na medal. Nie widać pijanych, choć nikt nie wylewa za kolnierz.

Kuchnia smaczna i obfita. Nastrój jak na nasz gust może zbyt chłodny. Przypomina nam trochę komera

maturalny w szkole dla dorosłych. Pary na parkiecie wirują z gracją, którą obnosiły kiedyś dumnie nasze babki. Od czasu do czasu ktoś wylamuje się z umownej konwencji i próbuje, z mniejszym, lub większym powodzeniem, odstawić nasze łamańce. Niektóre przedstawicielki ładniejszej połowy ludzkiego rodu przyszły bez towarzystwa mężczyzn. Sąsiadka bardzo sympatyczna uśmiecha się zachęcająco (na pewno nie do Sienkiewicza), już miałem się poderwać i partnerkę... do tańca, gdy przede mną wyrósł jakiś młody przyjemniaczek i prosił mnie, żebym go zapoznał z tą panią. Tłumaczę nieszcześnie, że jestem w Moskwie cztery dni i tę panią widzę pierwszy raz na oczy.

— Przecież uśmiechałem się do niej.

— Przyznaję, jak przystało na dżentelmena!

Zdaje się, że uwierzył, bo skłonił się z galanterią i odszedł. Uwierzył? Jeśli coś zrozumiał.

Sympatyczna sąsiadka już się kręci na parkiecie z innym.

— Płacić!

### NOWA FALA

**B**ARDZO BOGACI są radzieccy poeci i prozaicy, bo potrzebni są ludziom — stwierdził nasz znajomy z Irkucka. Na imię ma Arkady i odwiedził nas w hotelu z dwoma swoimi przyjaciółmi z Moskwy.

Co mamy rozumieć przez twierdzenie, że „potrzebni są ludziom”? Nasi nowi przyjaciele stają się rozmowni.

Wiele jest u nas rodzin, które poniosły ofiary w czasie narastania prześladowań, w okresie kultu Stalina. Ci młodzi, odpowiedzialni twórcy z całą odpowiedzialnością nie tylko za siebie, ale za wielkie rzesze słuchaczy i czytelników,

tworzą dziś nowe w formie oblicze prozy, poezji. Gdy mieszkańcy Moskwy dowiedzieli się, że w 11 numerze miesięcznika „Nowy Mir” ma być drukowana powieść obozowa Aleksandra Sołżenicina, wiele dni wcześniej przed kioskami gazetowymi pojawiły się długie kolejki do zapisu. Wiersz Jewtuszenki „Pogrobowcy Stalina” mieszkańcy Moskwy znali jeszcze przed wydrukowaniem. W spółkaniu z A. Woznińskim jednym z najpopularniejszych dziś poetów radzieckich młodego pokolenia, brało udział na największym stadionie Moskwy 12 tysięcy osób.

Subtelność języka, bogactwo formy sprowokowało dogmatycznych krytyków, którzy uzurpowali sobie prawo przemawiania imieniem narodu bo bezpodstawnej krytyki, że poeci ci są niezrozumiali przez masę. A właśnie poezje Jewtuszenki i Woznińskiego, których spotkał ten zarzut osiągały olbrzymie nakłady, np. zgłoszono już 100 tysięcy zamówień na zbiór „Trójkątna gruszka”, który ma się ukazać w tym miesiącu.

Bajdurzenie tych krytyków od siedmiu boleści nie zatrzyma potężnej nowej fali. Podniecająca atmosfera płodna i sprzyjająca twórczości rodzi w Związku Radzieckim wielkie i trwałe wartości.

A Wozniński przebywający obecnie w Paryżu w swojej wypowiedzi dla „Les Lettres francaises” stwierdza: „Sądzę, że miłość jest uczuciem najbardziej rewolucyjnym”. Nie myślę się, wszak Tolstoj pisał: „...o wszystkim decyduje miłość; miłość decyduje czy dzieło żyje czy nie”. Oto złoty klucz od wielkiej tajemnicy.

Dzieła młodych utalentowanych twórców radzieckich żyją, bo zrodziła je miłość do ludzi i kraju ojczystego. Dlatego oni są potrzebni ludziom i ludzi im.

(W następną sobotę: TU-114 do Gruzji — pierwsze po Rio — Sienkiewicz — wnukiem wielkiego Sienkiewicza!)



SŁUCHACZKI...

Fot. CAF

tywnym i otrzymał tytuł mistrza malarskiego”, dalej portret, który przykuł moją uwagę. Na portrecie ślubna para. Ona — w białej sukni i welonie spitym na głowie wiankiem mirtowym. Znajoma postać. Skąd, u licha, ja ją znam? Aż ugryzłem się w język. Przecież to na pewno matka tego chłopca. Kubek w kubek do siebie podobni. Identyfikacja nos, te same regularne usta i duże oczy skryte za długimi rzęsami. On natomiast w czarnym garniturze i białej koszuli. Zabójczy wąsik i starannie uczesana falująca fryzura. Małżonek kobiety i ojciec małego. Ten sam, który w tej chwili dmucha ile sił w palenisko, próbując na nowo rozniecić zgasty ogień. W tym wypadku podobieństwa można się tylko domyślić, na podstawie niektórych charakterystycznych rysów. Bądź co bądź lata zrobiły swoje. Znikły zabójcze wąsiki, bujna czupryna. Pojawiły się za to symptomy starości. Łysina na głowie, zmarszczki na czole i szyi, swiętocięła skóra na rękach.

— Więc teść pana prześladował? — pada po raz nie wiem który, to samo pytanie.

— Tak proszę pańów. On chce mnie za wszelką cenę stąd wyrzucić. Mnie i dzieci. Ale ja się nie dam. Nie dam i już. Nic mi nie zro-

bi. Choć... Z siekierą się na mnie porwał, chciał mnie zabić!

— Z siekierą? Zabić? Przecież teść ma osiemdziesiąt lat! On się zresztą żali, że to właśnie pan dokucza mu i obrzydza życie.

Rozmowa jakoś się nie klei. Olbrycht każde pytanie odparowuje podwójną garą. Nie, on jest w porządku. Tak przynajmniej twierdzi. Robi co może, nawet pomaga starremu, ale za życzliwość płacą mu niewdzięcznością.

— Czy dziadek jest dla ciebie dobry? — pytamy małego.

Chłopiec kręci się na krześle i patrzy na ojca.

— No, powiedz panom prawdę — nalega Olbrycht. — Powiedz, że nie.

— Nie — powtarza małe.

— Przecież chodzisz często do niego i daje ci jeść...

— Ani nie chodzi, ani jeść mu nie dają — gwałtownie zaprzecza ojciec.

— Teść go nienawidzi.

Przejrzeliśmy ich grę. Wiemy bowiem, że obaj kłamią. Świadomie i celowo. Olbrycht z zemsty palającej do teścia, a chłopiec w obawie przed ojcem. Olbrycht ma twardą rękę i syn boi się bicia. Przed kilku minutami, kiedy stary zaabsorbowany był rozmową z moim szefem i z przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej w

Skotyszynie, powiedział mi, że jednak dziadka lubi, bo ten często go siodzami i często prosi na obiad.

Feliks Olbrycht i jego teść 80-letni Andrzej Syzdek mieszkają pod wspólnym dachem, w jednym domu składającym się z dwóch izb. Z zewnątrz dom wygląda okazale i góruje nad całym Lisowem. Sądziłbym, że jego właściciel dysponuje co najmniej sześcioma pokojami. Myliliśmy się, oczywiście. Wewnątrz pełno zakamarków, różnego rodzaju komórek, ganceczków, ciemnych alkierzyków, ale izb mieszkalnych jest tylko dwie i przedziela je cienkie przegięcie. W pierwszej izbie mieszka Olbrycht z dwoma synami, a w drugiej Syzdek z zamezną wnuczką i prawnuczkami. Mimo podeszłego wieku Syzdek trzyma się niezłe. We wtórnie ma takiego drugiego specjalistę, który by się znalazł na silnikach jak on. Na silnikach elektrycznych i spalinowych. Toteż w czasie żniw, a zwłaszcza omłotów w domu raczej go nie uswiadczysz.

Ziemi dużo nie posiada, raptem 2 ha, ale — jak mówią — daj Boże, by inni tak gospodarowali. Bywa, że i cztery tuczniki w roku wychowa

i sprzeda państwu. Ale Syzdek prowadzi swoje gospodarstwo z olówkiem w ręku. Złotiwci powiadają, że dziesięć razy się zastanowi nim wysuła grosz z kalety. Nie ma się co dziwić. Oni na ogół są przyzwyczajeni do szastania majątkiem na prawo i lewo. Pieniądze im lekko przychodzą, ale też i lekko się ich pozbywają.

Nasza rozmowa z Syzkiem była krótka. Znów zacząłem notować w myślach to, co wydawało mi się godne uwagi, gdy tymczasem mój szef oraz przewodniczący GRN ze Skotyszynie prowadzili ożywioną dyskusję z gospodarzem na temat jego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

— Wszędzie dobrze, ale najlepiej wśród swoich — mówi. — Ludziom zdaje się, że w Ameryce dolary to na ulicach leżą. Tylko brać. Kiedy wspominać o swoich tarapatach i przeżyciach — nie wierzą. Niech tam — macha z rezygnacją ręką. — Niech się budzą.

O szczegółach konfliktu istniejącego już od kilku lat między nim a zięciem niewiele się dowiedziałem.

— Nie jestem młody — powiedział — chociaż ten człowiek nie daje mi spokoju i żyję mu jak najlepiej. Boł mnie tylko to, że dzieci

buntuje, które nie dadzą dziadkowi należnego uszanowania.

W porównaniu z obskurną izbą Olbrychta, pokój Syzdeka wydawał się rajem. Czysto tu i schludnie. W oknach firanki i kwiaty. W rogu pokężna biblioteka, gdzie wśród równo ułożonych książek beletrystycznych, dostrzegłem grzybiety broszur fachowych, rolniczych. Podłoga starannie zamieciona. Dwa łóżka, krzesła, łózko dziecięce. Na stoliku nakrytym serwetą — radio. Pod oknem — pralka elektryczna, a przy drzwiach — lodówka.

Ludzie z Lisowa doskonale są zorientowani w przyczynach twardości między Syzkiem a Olbrychtem. I chociaż niektórzy zazdrozczą starremu dostatkowi, jednak nikt nie staje w obronie jego zięcia.

— Intrygant — mówi jeden. — Gnojek — dodają drudzy i zaraz spieszą z wyjaśnieniami.

Andrzej Syzdek, wyjeżdżając w poszukiwaniu chleba do Stanów Zjednoczonych, pozostawił w walizce swoje chalupe żonę wraz z dwójkiem małych dzieci. Przez jakiś czas bez grosza przy duszy podróżuje od

## LIST DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE  
REDAKTORZE!

W drugim numerze „Widnokręgu” z bieżącego roku raczyła ze mną polemizować p. Teresa Żurawska w utworze pt. „Owoce dojrzwały...”. Nie chcąc zajmować Panu cennego miejsca ograniczę się do kilku uwag.

P. Żurawska, negując „przesadnie pretensjonalny styl”, usiłowała przetłumaczyć moje tezy na „język polski”. Efekt — wydaje się — osiągnęła dużo gorszy, mimo braku „autorytatywności”. Pomijam już przypomnienie historii od 1945 r., jako nic nie wnoszące do meritum sporu. Ciesząc się, że „podpisuje się” pod propozycją wyjazdu Kuda do Paryża — rad bym, gdyby jednak wyliczyła nazwiska następnych kandydatów, bez wzywania do „bić się” samych artystów. Pozostawiam więc w dziedzinie chęci i nadziei, gdyż i ja uważam, że poza Kudami są w Rzeszowie malarze utalentowani.

Ponieważ p. Żurawska nie wie, dlaczego ugry i zółcie „muszą być

z palety van Delfta” — odsyłam ją do reprodukcji.

„Co by było, gdyby Kudowa została rzeźbiarką” — to pytanie — jak wszystkie, co byłoby gdyby — mnie osobiście nie interesuje.

Podziwiam wiedzę p. Żurawskiej na temat abstrakcjonizmu, jak na potrzeby krytyki — mocno nie wystarczającą. Chciałbym dodać, że nawet malarze abstrakcjoniści nie rezygnują z „tematu”. P. Żurawska pewnie pomyliła „temat” z tzw. „literacką anegdotą” lub naśladowaniem natury. Jednak traktowanie abstrakcjonizmu jako kierunku „nic” przedstawiającego jest grubym uproszczeniem. Można się w nim doszukać problemów filozoficznych, o jakich się dyskusantce nie śniło.

„Logiki kosmaru” nie będę wyjaśniał. „Przestrzeń zakrzywiona” istnieje w każdym uniwersyteckim podręczniku współczesnej fizyki od czasu wynalezienia formuły  $E=mc^2$ . Jest jeszcze słowo honoru dane przez Boga Adamowi w albumie Effela, że dwie proste równoległe przecinają się w przestrzeni. Bez „krzywiżny” wszechświata takie zjawisko byłoby niemożliwe.

Na zakończenie — chciałbym Dyktantce dedykować zdanie Paul Valéry: „Un homme seul est toujours dans la mauvaise compagnie”.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku

WIESŁAW RUSTECKI

P. S.

Biorąc pod uwagę pleć Dyktantki — nie mogłem zrewanżować się zestawem obrazliwych inwektyw.

15 bm. rano otrzymałem ekspressem numer „Widnokręgu” z popodkreślanymi czerwonym ołówkiem pikantnościami. „Zycielwy” anonim, który nie wie, że i w Warszawie można czytać „Nowiny Rzeszowskie”, do zadresowania koperty zatrudnił lewą rękę...

## Potrzeba dialogu

12 stycznia br. w lokalu ZPAW w Rzeszowie odbył się interesujący „Wieczór rozmów o sztuce”. Na program jego włożyły się prelekcje: pisarza Jana Bolesława Ożoga „Zagadnienie treści w sztuce” oraz uczniów Stanisława Szukalskiego, art. mal. Mariana Konarskiego „Szczep Rogate Serce i dzisiejszy rezonans jego „założeń” i art. mal. Franciszka Frąckia, autora prac eksponowanych obecnie na polskiej wystawie BWA w foyer Państwowego Teatru im. Wandy Sieroszewskiej. „Moja praca artystyczna”. Tak więc problematyka „Wieczoru” dotyczyła programu twórczego szukalskich i działalności artystycznej całej grupy. Po wystąpieniu autorów rozwinęła się ożywiona, wielogodzinna dyskusja, która dowiodła, że istnieje zapotrzebowanie społeczne na imprezy tego typu. Ten udany „Wieczór” zainaugurował działalność klubową ZPAW i BWA.

I. KL.

## Co wystawiają?

SZTUKI AMERYKANSKICH DRAMATURGOW  
NA SCENACH MOSKIEWSKICH

„Cudotwórczyni” Williama Gibsona i „Czarownice z Salem” Artura Millera weszły po raz pierwszy na sceny moskiewskich teatrów. Teatr im. Jermolowej zaprezentował „Cudotwórczynię”. Wielki sukces spektaklu wykazał, że moskwańskie sceny wysoko oceniły talent amerykańskiego dramaturga. „Gibson stworzył dzieło przepięknie głęboką myślą i humanizmem, wiarą w nieograniczone możliwości człowieka — powiedział przedstawicielom prasy reż. Aleksander Szatrin. — Autorki udało się na przykładzie rzadkiego, niemal wyjątkowego wypadku — ukazać wielki społeczny problem wychowawczy”.

„Cudotwórczyni” nastrecza ogromne trudności inscenizacyjne. Wiele scen wymaga od aktora umiejętności pantomimicznych. Wspomniane z tego zadania wykonała się Helena Korolowa, wykonawczyni głównej roli — Ellen Keller.

Warto dodać, że inną sztukę Gibsona „Dwoje na huśtawce” moskwiacy mogą oglądać na scenie teatru „Sowremiennik”.

„Czarownice z Salem” — to czwarta sztuka Millera udostępniona widzom radzieckim. Grano tu już „Smierć komiwojażera”, „Wszyscy moi synowie” i „Widok z mostu”. Prapremiera „Czarownic” na scenie Teatru im. Stanisławskiego otrzymała świetną obsadę. W roli Johna Proctora wystąpił Eugeniusz Urbański (znany naszym widzom z filmu „Czyste niebo”), a jego żony — Dzidra Rittenberg (odtwórczyni roli tytułowej w filmie „Malwa”).

Przedstawienie przygotowane przez reż. Aleksandra Arnowa nawiązuje do najlepszych tradycji rosyjskiego teatru realistycznego.



A. J. — autokarykatura.

## Analfabetyzm — nadal największą plagą ludzkości

W grudniu ub. roku odbyła się w Paryżu narada przedstawicieli 111 państw — członków UNESCO, poświęcona sprawie zwalczania analfabetyzmu na świecie. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez UNESCO, co drugi dorosły mieszkaniec kuli ziemskiej nie umie czytać i pisać. Najwięcej analfabetów jest w Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Np. w Afganistanie analfabeci stanowią 85 proc. ludności, w Boliwii 60 proc., w Ghanie 90 proc., w Iranie 80 proc., w Pakistanie 84 proc., w Sudanie 90 proc., w Zjednoczonej Republice Arabskiej 70 proc.

W celu zwalczania analfabetyzmu (co roku przybywa dalszych 20 do 25 milionów osób nie umiejących czytać i pisać) UNESCO uchwaliło program obliczony na dziesięć lat. W tym okresie nauka czytania i pisania objętych będzie 330 mln ludzi w wieku od 15 do 50 lat w krajach członkowskich tej organizacji. Realizacja programu ma kosztować ponad 170 mln dolarów.

Na naradzie podkreślano, iż analfabetyzm jest jedną z największych plag trapiących ludzkość. Głód zabija co trzeciego, choroby — co dziesiątego, a klęska analfabetyzmu i ciemnoty jest udziałem co drugiego człowieka na świecie. Jednocześnie na naszej planecie co minuta powstaje nowy wynalazek naukowy, drukuje się rocznie 350 tysięcy nowych książek.

W 198 państwach istniejących na kuli ziemskiej co roku powstaje 1000 bibliotek i 100 muzeów.

Obok sprawy zwalczania analfabetyzmu, uczestnicy obrad UNESCO przedyskutowali również ołbrzymie korzyści ekonomiczne i społeczne rozbrojenia.

Gdyby w wyniku powszechnego rozbrojenia dotychczasowe wydatki na cele militarne zostały przeznaczone na zaspokojenie istotnych potrzeb ludzkości, wystarczyłoby jedno pokolenie, by analfabetyzm został całkowicie zlikwidowany. Dzięki zaoszczędzonym stąd sumom udało się również zwalczyć i dwie inne plagi ludzkości: głód i choroby.

## Muzeum Teatru powstanie w Krakowie

Kraków ma otrzymać nową, jedenastą już placówkę muzealną. Będzie nią Muzeum Teatru. Załóżnikiem stanie się dział teatralny krakowskiego Muzeum Historycznego, mający w swych zbiorach już ponad 3,5 tys. eksponatów o poważnej, niejednokrotnie wartości naukowej bądź pamiętkowej.

Bogato reprezentowany jest zwłaszcza dział archiwaliów teatralnych, obejmujący rękopisy sztuk, egzemplarze reżyserskie z odręcznymi adnotacjami Solskiego, Osterwy, Jaracza i in., listy, stare księgi administracyjne krakowskich teatrów itp. Do prawdziwych „białych kruków” zaliczyć należy pamiętki osobiste po wielkich aktorach sceny polskiej, m. in. po Helenie Modrzejewskiej i Ludwiku Solskim, projekty kostiumów i scenografii — dzieła Wyspiańskiego, Mehoffera oraz liczne zdjęcia będące cenną dokumentacją dla badaczy dzieł teatru.

Nie została jednak jeszcze ustalona lokalizacja nowej placówki muzealnej.

## Zdarzenia TYCODNIA

Z inicjatywy Kierownictwa Powiatowego Domu Kultury i Oddziału Powiatowego TWP w Lubaczowie zorganizowano tam Uniwersytet Powsteczny. Głównym kierownikiem Uniwersytetu będzie organizacja cyklu wykładów z dziedziny prawa, medycyny, zagadnień społecznych itp.

W Domu Kultury Zakładów Chemicznych w Sarzynie odbyło się ostatnie posiedzenie komisji kulturalno-oświatowej Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Chemików, na którym dokonano oceny działalności DK w roku 1962.

Za szczególnie wartościowe uznano małe formy pracy oświatowej, które w Sarzynie zdobyły sobie dużą popularność. Chodzi tu o różne konkursy czytelnicze, wieczory literackie oraz działalność miejscowego kina oświatowego.

Na posiedzeniu postanowiono równocześnie przystąpić do organizacji koncertów wymyślnych w domach kultury pionu chemików. I tak np. zespół estrady poetyckiej, orkiestra, balet i solści Zakładowego Domu Kultury z Sarzynie wystąpią w najbliższym czasie w Krośnie, Dębli i Jaśle. W Sarzynie natomiast zaprezentują swe artystyczne osiągnięcia zespoły z Tarnobrzega, Jasła i Krosna.

Trzy miesiące temu w Zakładowym Domu Kultury w Sarzynie zorganizowano młodzieżowe kółko plastyczne. Na zajęcia, które prowadzi instruktor Halina Organa, uczęszcza 80 dzieci. Przed kilkoma dniami w foyer Domu Kultury zorganizowano interesującą wystawę prac członków tego kółka. Na uwagę zasługuje fakt, iż jest to ósma wystawa zorganizowana w ciągu trzy-miesięcznej zaledwie działalności kółka.

W dniach 18 i 20 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie odbywają się imprezy eliminacyjne Konkursu Zespołów i Solistów Jazzowych, zorganizowanego staraniem m. in. Krakowskiego Jazz-Klubu, Telewizji — Kraków i Rozgłośni Polskiego Radia — Rzeszów. W imprezach uczestniczą zespoły i soliści z województw krakowskiego, lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

Zespół teatralny Zakładowego Domu Kultury w Turaszówce przeprowadza końcowe próby sztuki „Wujaszek z Ameryki”. Reżyserem jest Witold Janiczek. Premiera odbędzie się w najbliższych dniach. Zespół dziecięcy natomiast przygotowuje inscenizację bajki „Stach i strach” pod kierownictwem Zofii Lorencowej.

Z ciekawą inicjatywą wystąpiła dyrektorka Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, która w salach Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie zorganizowała „Rzeszowski Kabaret Noworoczny”. Na program interesującej imprezy składa się satyryczna szopka, w której występują znane postacie Rzeszowa, teatryk Zlona Gęś oraz występ duetu muzycznego z Budapesztu: Lili Veekel i Imre Boduara. Wykonawcami imprezy są artyści rzeszowskiej „Estrady”: M. Berry, A. Marecka, I. Strzelecka, J. Krzywicka, Z. Kozień, J. Siatkiewicz i A. Tatrzański.

## W OCZEKIWANIU

(Dokończenie ze str. 3)

stanu do stanu w poszukiwaniu pracy, ale wówczas o jakiegokolwiek zajęciu było niezwykle trudno. Gdyby go ktoś protegował — co innego. Sek jednak w tym, że Syzdek nie znał nikogo. Spał pod mostami lub w parkach. Walał się przed dworcami kolejowymi, gdzie czasem zarobił parę groszy.

Możemy sobie tylko wyobrazić, jaka była jego radość, kiedy przyjeżdżał do jednej z rzeźni w Chicago. Dano mu gumowe rękawice, worek soli, kazano solić polcie słoniny i układać warstwowo w skrzyniach. Sól zebrała gumę i dobięła się do ciała. Palce broczyły krwią, rany piekły, ale co się to nie robi dla pustego żołądka.

Z czasem nabrał uprawy, powiększył się jego zarobki. Mógł co nieco odłożyć. Po 15 latach przyjeżdża do Lisowa, przywozi swoje oszczędności i buduje nowy dom. Potem znów wraca do USA...

Syzdek nie stał na przeszłość związkowi małżeńskiemu córki z Olbrychtem, ale też go nie pochwa-

lał. Przypuszczalnie dlatego, że przyszłego zięcia nie znał. Lakoniczne listy żony, które od czasu do czasu otrzymywał, nie mogły — rzecz jasna — dokładnie scharakteryzować sylwetki Olbrychta. Pisała, że jest ukladny, że posiada fach w rękę. Chyba jednak celowo nie wspominała, że lubi zaglądać do kieliszka. Sądziła, że po weselu wszystko się jakoś ułoży.

Blagostawieństwo ojcowskie przyszło zza Oceanu w samą porę; narzeczeni za tydzień mieli stanąć przed ołtarzem i czekać tylko na wiadomość od Syzdeka.

Po ślubie państwo młodzi zamieszkali w nowo wybudowanym przez ojca domu i dostali na zagospodarowanie półtoręj morgi pola krowę i kilka kur.

W 1949 roku Syzdek powraca na stałe do kraju. Olbrycht momentalnie przerywa pracę. Liczy głównie na pomoc teścia. Pewną kalkulację wiąże ze śmiercią starej Syzdekowej. Sądzi, że teraz cały majątek Syzdek zapisze jemu lub córce. Próbnie jego nadzieje. Teść widząc, że gotówkę, którą dał Olbrychtowi bezpo-

średnio po przyjeździe, ten przepił, co zresztą doprowadziło do poważnych rozdziewiętków między nim a żoną, odsuwa się zupełnie od zięcia. Bierze do mieszkania wnuczkę wraz z mężem i dziećmi, zapewniając sobie opiekę na stare lata.

Tymczasem Olbrycht jest coraz częściej gościem w knajpach, zaniedbuje dom, mimo uszu puszcza błagania żony, by zawrócił ze złej drogi i klinie na teścia ile wlezie. Niespodziewana śmierć małżonki jest dla niego poważnym ciosem. Zmarła na gruźlicę płuc.

Jeszcze trawa nie porosła na mogile żony, a już myśli o powtórnym ożenku. Jednak 20-kilkuletnia nauczycielka nie chce wyjść za mąż za wdowca starszego od niej o blisko 30 lat.

Olbrychtowi w dalszym ciągu marzą się dolary. Napuszcza więc teraz na dziadka swoich synów. Najmłodszemu każe wołać za nim sk...synu. Najstarszy po skończeniu szkoły średniej, dzięki dużym zdolnościom, pomocy organizacji młodzieżowej i nauczycieli dostaje się na studia w Związku Radzieckim. Po otrzymaniu dyplomu i zdobyciu tytułu inżyniera rozpoczyna pracę w Kędzierzynie. Z ojcem nie utrzymuje jednak żadnych kontaktów. Drugi syn jest zawiadowcą stacji w

Katowicach i do Lisowa nie przyjeżdża. Skończył Technikum. Trzeci uczęszcza do Liceum w Jaśle, bardzo dobrze się uczy i na szczęście nie daje się wciągnąć do nagonki przeciwko dziadkowi. Tylko najmłodszy, ten z którym rozmawialiśmy, jest bezwolnym narzędziem w rękach Olbrychta. Nie ma się co dziwić. Dziecko to jeszcze, i wielu spraw nie rozumie.

Dziadek jednak kocha wnuczkę, zdając sobie sprawę, że za postępowanie zięcia małe nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Nakarmi go, czasem prezentuje mu jakieś ubranie ko lub buty.

Olbrycht gospodarkę zupełnie zaniedbał. Próżno był w lecie szukał na jego polu jakiegokolwiek plonów. Chwałst na chwałcie rośnie i to co zbierze nie wystarczy mu nawet na skromne utrzymanie. Nie płaci podatków, nie reguluje obowiązkowych dostaw. Z czego żyje? Czort wie z czego. Raczej z tego, co podbierze Syzdekowi. Choć jest doskonałym fachowcem, do żadnej roboty nie idzie. Przyjeżdża do niego przedstawiciele firm budowlanych z Jasła, obiecywali mieszkanie, niezły zarobek, były tylko do nich przyjeżdżać, bo właśnie malarzy im brak, jednak Olbrycht zamknął przed nimi drzwi. Powiedział o-

twarci: „Syzdek ma kupę dolarów i powinien mi dać. Jeżeli odpał mi 150 tys. złotych, to się stąd wyniosę i przestanę mu robić na złość... Kiedy doniesiono o tym staremu, więcej się śmiał niż gniewał. „Zustęgo i w próżnie nie należy. Wszystkie oszczędności już dawno diabli wzięli. Pracuję. Mimo 80 lat nie wstydzę się pracy. Ale choćbym nawet miał, to nie dam. Próżniakowi? Niech się weźmie do roboty. Tylko niech mnie zostawi w spokoju. Radził, żebym oddał sprawę do sądu, ale to przecież krewniak i nie chcę taniej sensacji we wsł. Cierpliwość ma jednak swoje granice”. Na pewno.

Syzdek mówił do nas: — Jeżeli zięć wyciągnie prawicę do zgody, podam mu swoją rękę. Tylko musi się zmienić.

Olbrycht patrzył inaczej na tę sprawę: — Niech go piekło pochłonie z jego zgodą. To on powinien mnie przeprosić.

Na drugi dzień pchnął do teścia syna z oryginalnymi życzeniami. Chłopczyk dokładnie powtórzył słowa ojca: „Wesołych świąt, ty stary pruku”...

E. WISZ